Rozmaitości

DNIA 11. PAŹDZIERNIKA Ner 41. 1834 ROKU.

JACQUES BALMAT,
MONT-BLANC ZWANY.*

(Wyjątek z przypomnień podróży na górę St. Bernharda, przez Alexandra Dumas, w *Revue de deux mondes* umieszczony.)

Podróżujący zwiedziwszy szczyt góry *Flégère*, opisawszy zachwytny widok, który mu ztamtąd pasmo niebotycznych skał przedstawiło; powraca ze swoim przewodnikiem do oberzy w Chamouny; zastaje tamże zaproszonego przez siebie 70letniego starca. Byłto Jacques Balmat, ów nieustraszony Kolumb, który piérwszy, pośród tysięcznych niebezpieczeństw, wdarł się na szczyt góry *Mont-Blanc*. »Oddawszy należną cześć odwadze jego (mówi autor), prosiłem go do stołu. Gdy się już uczta kończyła, a wino szczebiotnym Balmata czynić zaczęło, zwróciłem mowę na jego przygody i prosiłem, czyliby mi sam ich opowiedziéć nie raczył; skłonił się chętnie na żądanie prosto-duszny starzec. Udérzyliśmy w szklanki na zdrowie jego.«

»Balmat, wypróżniwszy duszkiem swoję szklankę, mlasknął językiem, ściągnął brwi, i zamróżywszy na chwilę oczy, jak gdyby przypomnieniem treść przygód swoich porządkował; oparł się wygodnie plecami o tylną poręcz krzesła. Mój przewodnik zaś, który je zapewne nie piérwszy raz słyszał, oparł głowę na lewym łokciu i postawił sobie szklankę na doręczu. Ja wziąłem ołówko i mój dziennik podróży do ręki, i oto daję czytelnikowi osnowę przygód Balmata, w tak prostym i nieozdobnym stylu, jak je on sam w prostocie swojéj mnie opowiedział:

»Hm... tak... byłoto roku 1786; miałem wtedy dwadzieścia i pięć lat, a zatém teraz, jak mię tu wćpan przed sobą widzisz, nié mam ani mniéj ani więcéj, jak tylko 72. Wtedy... ba, wtedy było u mnie wszystko inaczéj! wtedy miałem stępaki, jak sam diabeł, a żołądek żarłoczny, jak piekło! Mógłem wćpanu bez wytchnienia i o głodzie trzy dni ciągiem bieżéć. Jak mi się to właśnie raz zdarzyło, kiedym się był w *Buet* zabłąkał. Wziąłem gródkę śniégu w gębę i ssałem ją, jakby słodką, sosistą gamołkę. Wtedy bywało, zoczywszy górę *Mont-Blanc*, mawiałem czasami do siebie: »Ha, ty stara, siwa babo! tobie się łatwo dąsać; siedzisz sobie, jakby jaka wielka pani; ale zaczekajno tylko, już ten dzień przyjdzie, w którym ja ci na łbie siądę!« Krótko mówiąc, zawsze mi to i w dzień i w nocy po głowie chodziło; nié miałem spokojn. Skoro dzień zabrzasnął, już mi coś na górę *Brewent* gnało, zkąd się na *Mont-Blanc* tak dobrze patrzyć można, jak się tu ja patrzę na wćpana. Nieraz wiele czasu na tém strawiłem, abym sobie na nię jaką drogę upatrzył. »Mniéjsza oto,« mawiałem sobie, »jeżeli żadnéj nié ma, już ja sam ją sobie znajdę; ale tam wyléźć muszę, choćby mi na brzuchu léźć przyszło!« A w nocy — w nocy jeszcze gorszą biédę miałem. Zaledwiem bywało oczy zamknął, oho! jużem był w drodze, jużem lazł w górę i wyżéj i wyżéj! Z początku wiodło się nie źle; szedłem jak po ubitym gościńcu, mówiłem do siebie: »Patrzajże, Jacques, jak ty głupim byłeś, kiedyś mógł wierzyć, że wejść na górę *Mont-Blanc* jest rzeczą niepodobną.« Ale nie długo trwało, a już się droga coraz bardziéj i bardziéj węzić zaczynała; z tém wszystkiém, byłato

---

* Szczyt góry *Mont-Blanc* wznosi się podług wyrachowania pana Saussura, nad powierzchnią morza: 14.676 stóp.

przecież jeszcze porządna ścieżka, podobna do téj, która z *Flégère* prowadzi; i tak szło zawsze i wciąż wyżéj i wyżéj! Nakoniec przyszły takie miéjsca, gdzie się droga całkiem ucięła; przyszły miéjsca tak nieznane, jak powiedzieć trudno! Ziemia chwiała się pod mojémi nogami; zapadłem nieraz aż po same kolana. Mniéjsza oto! gramoliłem i dobywałem się, co mi siły stało. Jakżeto człowiek we śnie jest głupim człowiekiem! I dobrze; przecież nakoniec znowu się wydobyłem; ba! ale nie długo trwało, a już zaczęło iść spadzisto i tak pionowo, żem się na brzuchu położyć i rakiem sunąć musiał. Tu było już co innego! I odtąd zawsze już szło gorzéj. Stawiam nogi po ostrych skał wierzchołkach, a te chwieją się, jak zęby spruchniałe; to już nie chychy! Pot zaczął się lać z czoła ciórkiem; zacząłem sapać i tak ciężko oddychać, jak gdyby mi kamień młyński na piersiach ciężył. Nicto nie szkodzi; ja sobie lézę i lézę coraz daléj w górę! Przyssałem się, jakby jaszczurka, do ściany; ziemia pode mną zniknęła, nicto nie szkodzi; ja tylko nad siebie patrzę i tylko w górę wlepiam oczy. Gwałtem i gwałtem w górę mi się chciało; ależ moje nogi, moje nogi! Ja, który miałem kości, jak z żelaza, nie mógłem ani z miéjsca ruszyć. Otóż i bieda! Widząc się w takim brzydkim kłopocie, czepiłem się, ni kleszcz, skały paznokciami; ale cóżto pomogło? czułem po siłach, że w dół koniecznie spaść muszę, i rzekłem do siebie: »Mój dobry przyjacielu, Jacques Balmat, jeżeli się téj tam, nad swoją głową wiszącéj, nie uchwycisz gałęzi — dasz w dół koziołka, i ani kur za tobą nie zapieje; przepadłeś! Przeklęta gałąź! jużem się jéj palcami dotykać zaczął, jużem jéj dołaził: oparłem się, nito kominiarz, kolanami; zbiéram wszystkie siły w kupę, sunę z całéj mocy — Ha, gałąź! Miałem ją! — Póki mego życia, na tę noc nigdy nie zapomnę. Moja żona przebudziła mię kułakiem. Wystaw sobie wćpan, wziąłem ją we śnie za ucho! i sądząc, żeto owa przeklęta gałąź, ciągnąłem... ciągnąłem, jakby kawał *gummi elasticum*. Wtedy rzekłem sobie w duchu: »Mój Jacques Balmat, bądź dobréj myśli, zabiérz się tylko koło tego szczérze i sierdzisto; a to ci się powiedzie!« Wyskoczyłem z łóżka, jak oparzony; wzułem spiesznie boty. »Dokądże idziesz? zapytała mię żona. — »Pójdę szukać po górach kryształów,« odparłem jéj; bom nie chciał jéj, widzisz wćpan, wydać, co mi w głowie siedziało. »Jeżelibym dzisiaj wieczorem do domu nie wrócił,« rzekłem jéj w dodatek, »niech cię to bynajmniéj, moja kochana, nie troszcze, bądź mi spokojna. Nie będę do 9téj... no, to sobie na górach przenocuję, i cóżto szkodzi.« Wziąłem w rękę, żelazem okuty kij góralski, który dwa razy był grubszy i dłuższy, jak bywa zwyczajny; nalałem bukłak wódki, wsunąłem spory kawał chleba do torby i puściłem się w drogę. To mi była uczciwa wyprawa! Tak; otóż.....«

»Jużem ja raz był próbował na *Mont-Blanc* przez lodowe dostać się morze; ale góra *Mont-Maudit* zatarasowała mi drogę; poźniéj przyszło mi na myśl, przez górę *Aiguille du Gouter* doświadczyć tego; ale, aby z niéj można wejść na *Dom**, trzeba wprzód było iść koniecznie wązką krawędzią skały, która ćwierć mili jest długa, a ledwie stóp dwie széroka; mająca przytém po obu stronach pod sobą przepaść, przynajmniéj tysiąc ośmset stóp głęboką! Dziękuję za to; nie miałem ochoty iść na złamanie karku. Dałem temu pokój; tą razą przedsięwziąłem sobie, puścić się całkiem nową drogą; obrałem sobie tę, która z góry *de la Côte* prowadzi; w trzech godzinach, byłem już na lodowcu** *Bosson* zwanym. Przeszedłem go szczęśliwie, nie znalazłem tam wielkich trudności. O cztéry godziny poźniéj byłem na górze *Grands-Mulets*. To było już coś! zasłużyłem na śniadanie; zjadłem kęs chleba; łyknąłem z bukłaka. I było mi na zdrowie; ba..... W owym czasie, o którym tu mówię, nie było jeszcze na *Grands-Mulets* téj płaszczyzny, która się tam teraz znajduje; jeszcze tam wtedy nie było tak wygodnie przysposobiono, za to ręczę wćpanu; oprócz tego byłem w nie małéj obawie, czyli wyżéj znajdę miéjsce takie, na którémbym noc mógł przepędzić. Szukałem na prawo i lewo oczyma; ale nadaremnie. Nakoniec puściłem się w Imię Boże znowu w drogę. W pół trzeciéj godziny

* Tak się nazywa najwyższy wierzchołek góry *Mont-Blanc*, dla tego, że ją słońce o tym czasie oświeca, o którym się podwieczorek *(gouter)* jeść zwykło.

** Lodowiec, góra lodem i śniegiem okryta.

ujrzałem się na pięknêm, suchêm miéjscu; szara skała wyjrzała ciekawie na moje przyjście z pod śniegu i pożyczyła mi 6 albo 7 stóp szérokości; więcej mi też i nie było trzeba, zwłaszcza, żem spać ani zamyślał; chciałem tylko na przyjemniéjszêm cokolwiek miejscu, aniżeli na śniégu, dnia oczekiwać. Stanąłem tedy na nocleg; byłato 7ma godzina w wieczór; zjadłem drugi kawałek chleba, pociągnąłem jeszcze raz z bukłaku, i zacząłem się na skale, na któréj noc przepędzić miałem, rozgoszczać. Nie wielem do tego potrzebował czasu; moje łóżko było prędko pościelone. O 9téj ujrzałem pod sobą cień mglistą, która się, jak gęsty dym, kłębem z doliny w górę wznosiła i z wolna ku mnie zbliżała. O pół do dziesiątéj już mię dosięgła i w swój ciemny płaszcz zawinęła. Jednakże widziałem jeszcze nad sobą w górze ostatnie promienie słońca, które się ze szczytem *Mont-Blanc* żałośnie rozstawały; wiodłem za niémi oczyma dopóki ich dojrzéć mogłem; dość długo ciągły się te blado-migotne nitki; ale nakoniec przerwały się i zgasły; a z niémi i dzień skonał. Będąc do Chamouny obróconym, miałem po mojéj lewéj niezmierzony okiem step śniégu, który aż do *Dom Gouter* sięgał; po mojéj prawéj, przepaść, do ośmset stóp głęboką, w którą z miéjsca mojego, gdzie byłem, ręką ściągnąć mógłem. Z obawy, abym się we śnie w ten parów, jakto mówią, nie zkatułał; siadłem sobie prosto i ostrożnie na mojéj poścìelonéj odzieży, i zacząłem, dla rozegrzania się, bić rękami i nogami. Nie długo trwało, a już i księżyc wyszedł; ale tak blado, jak gdyby biédak na suchoty chorował; otaczał go wieniec chmury; długo się około niego kręcił i pieścił, aż go nareszcie około jedénastéj, z wielkiéj miłości, całkiem połknął. O tymże samym czasię widziałem ze strony *Aiguille de Gouter* drugi taki powróz szubieniczny; był on z mgły uplecion, która się z góry prosto na mnie spuszczała, i nim jeszcze mnie swojém sidłem po karku polizała; już mi wprzód całą garść śniégu w twarz cisnęła. Dobyłem z kieszeni chustki i obwiązałem sobie głowę, mówiąc: Dobrze i to; ale leć sobie na złamanie szyi, ty napastne licho! — Co też uczyniło... Nie było prawie jednéj minuty, abym nie był słyszał łomotu, który sprawiały toczące się w dół śnieżne zaspy i lodów urwiska; grom rozlegał się széroko; a bałuch, łamiąc się głucho po górach, rozwodził swoje odtętnienie w oddaleniu. Z okropnym hukiem pękały lodowce, a za każdym trzaskiem czułem pod sobą, że góra drzała, jakby nią febra trzęsła. Nié miałem ni głodu ni pragnienia; ale zacząłem czuć osobliwszy ból głowy, który iść zaczął od ciemienia i aż ku brwiom się potoczył. Pośród tego wszystkiego mgła nie ustawała i ciągle się strzępiąc, wlekła swoję szarą opończę. Mój oddech przymarzł mi do chustki; a śnieżna pluta tak moję odzież przewilżyła, iż mi się zdawało, jakbym, mówiąc z respektem, całkiem nago siedział. Dobrze i to, powiedziałem sobie; podwoiłem ruch; trzepałem rękami i nogami; a chcąc rozpędzić tę kupę głupich myśli, które gwałtem w głowę mi lazły; zacząłem śpiewać sobie; ale głos mój w mgle ginął; echo niemiało; okropna cichość objęła mię w swoje ramiona; w téj otrętwiałéj zlodowaciałéj naturze wszystko było umarłe; mój głos własny czynił na mnie osobliwsze wrażenie: bałem się. O drugiéj godzinie pobielało niebo od wschodu. Z piérwszym powrotem promieni słońca, powróciła i odwaga moja. Słońce wzejszło i zaczęło walczyć z obłokami, które *Mont-Blanc* pokrywały; czekałem i miałem nadzieję, że się rozrzedzą i rozproszą poźniéj; ale około czwartéj zaczęły jeszcze bardziéj gęstnieć, słońce traciło swoję dzielność, a ja przekonałem się, że mi dnia tego puścić się w dalszą podróż w żaden sposób nie wypadało; aby jednakże czas i trud mój nie był nadaremny, zabrałem się zwiédzić tych miéjsc okolicę; piąłem się po lodowatych wierzchołkach; lazłem ze skały na skałę; przepędziłem dzień cały upatrywaniem drogi, któraby mi na przyszłość do mojego celu najlepiéj posłużyć mogła. Gdy wieczór nadszedł, a z nim i mgła; zeszedłem znowu aż do *Bec á l'Oiseau*, gdzie mnie noc zaskoczyła. Użyłem jéj tą razą lepiéj, aniżeli przeszłą, zwłaszcza, żem na lodzie leżéć nie był przymuszony i cokolwiek zasnąć mógłem.«

»Od zimna stretwiały, ocknąłem się wraz ze świtem, i zacząłem zchodzić na dolinę. Dopiéro we wsi *La Cotte* odtajała mi odzież, i zlazła ze mnie mroźna skorupa. Jeszczem

sto kroków nie był uszedł i ostatnich we wsi domów nie minął, gdym już François Paccard, Joseph Carier, Jean Michel Tournier przydybał; wszyscy trzéj byli przy kijach, z sakwami na plecach, w szatach podróżnych. Pytałem ich, dokądby zmierzali? Odpowiedzieli mi: że idą oglądać młode kozy, które wieśniakom do wychowania powierzyli. Gdy z tych małych źwierząt jedna sztuka zaledwie cztérdzieście *sous* kosztuje, zaraz powziąłem podejrzenie, iż mi prawdy nie mówili, i że chcą doświadczyć tego, co mnie się nie powiodło; to podejrzenie tém bardziéj rosło we mnie, że pan Saussure piérwszemu, którýby się na sam szczyt *Mont-Blanc* wydrapał, znaczną nagrodę przyrzekł. Częste wypytywania Paccarda o miéjsce, gdzieby na górze *Bec à l'Oiseau* najlepiéj przenocować można było; utwierdziło mię w mojém mniemaniu. Odrzekłem tedy, że wszędzie pełno jest śniegu, i że, podług mnie, rzeczą wcale niepodobną znaleźć tam miéjsce do wypoczynku; widziałem, jak sobie skrycie dawali skinienia; alem udawał, jak gdybym tego nie widział. Odeszli na stronę, rozmawiali z sobą przez długą chwilę; nakoniec zrobili mi zapytanie: czylibym z nimi razem na górę *Mont-Blanc* nie chciał odbyć podróży; nie byłem od tego i zezwoliłem; ale, żem mojéj żonie do domu przyjść przyrzekł, chciałem dotrzymać słowa. Pobiegłem więc do domu powiedzić jéj, aby się o mnie nie troskała; odmieniłem pończochy i bóty; zaopatrzyłem moję torbę zapasem żywności. O godzinie jedénastéj wieczorem, nie spawszy bynajmniéj, ruszyłem w drogę; a już o godzinie piérwszéj połączyłem się z moimi towarzyszami na górze *B c à l'Oiseau*, o cztéry godziny od tego miéjsca niżéj, gdziem przeszłą noc przepędził. Zastałem ich śpiących, przebudziłem; zebrali się, i puściliśmy się razem w drogę; dnia tego szliśmy przez lodowiec *Taconnay*; doszliśmy aż do szczytu *Grands-Mulets*, gdzie ja tak osobliwszą noc miałem; potém wzięliśmy się na prawo i weszliśmy około trzeciéj na *Dom* (szczyt) *du Gouter*. Już poniżéj *Grands-Mulets* jednemu z naszych, François Paccard, tchu nie stało; położył się na płaszczu jednego z towarzyszów, i pozostać musiał.« (Ciąg dalszy nastąpi.)

CHUSTKA NIEBIESKA.

(Podług francuzkiego.)

W końcu miesiąca października roku 18** szedłem pieszo z Orleanu do zamku Bardy. Przede mną tymże samym gościńcem maszerował pułk wojska niemieckiego. Przyspieszyłem kroku, ażeby słyszéć muzykę wojskową, którą tak lubię; lecz muzyka zamilkła i tylko odgłos bębnów oznaczał w coraz większém oddaleniu w takt wymierzone kroki żołniérzy. Widziałem po półgodzinnym marszu, jak pułk ściągał się na bok w dolinę, okrążoną gaikiem jodłowym. Znając jednego kapitana z pułku, zapytałem go, czyto nie będą popisy wojskowe? »Nie,« odpowiedział mi, »będzieto sąd wojenny i zapewne każą roztrzélać jednego żołniérza z mojéj kompanii, ponieważ okradł włościanina, u którego stał na kwatérze. Jeźli więc jesteś wćpan ciekawy,« dodał kapitan, »to upatrzę mu miéjsce, z którego będziesz mógł wszystko widzieć i słyszéć. Ceremonija ta nie długo potrwa.« Takie widowiska miały zawsze coś pociągającego dla mnie, przeto poszedłem za kapitanem. Pułk uformował czworobok. Za tymże, blizko gaiku, kopało dwóch żołniérzy dół. W środku czworoboku siedziało ośmiu wojskowych na bębnach. Dziewiąty, siedzący trochę daléj z prawéj strony, pisał coś na kolanie ołówkiem. Przywołano oskarzonego. Byłto młodzian szlachetnéj, wyniosłéj postaci, ładnego oblicza i łagodnych oczu. Z nim razem wystąpiła niewiasta, jedyny świadek w tym procesie.

Pułkownik chciał zapytanie zadać niewieście, ale przerwał mu żołniérz: »Nie potrzeba się pytać, panie pułkowniku,« rzecze, »sam do wszystkiego się przyznam; ukradłem chustkę téj kobiécie.«

Pułkownik. Ty, Pitter? Bardzo mi to przykro. Byłeś zawsze znany za jednego z najlepszych żołniérzy, i szanowany w całym pułku.

Pitter. Cieszy mię to, panie pułkowniku, albowiem starałem się zawsze pełnić moję powinność i zasługiwać na względy przełożonych. Ale pozwól wyznać, panie, że tę chustkę nie dla siebie, lecz dla Maryi wziąłem.

Pułkownik. Któżto jest ta Maryja?

Pitter. Ach, panie pułkowniku, jestto anioł, ładna i dobra dziewica, moja krajanka, z téj saméj, co ja włości, mieszka w małym domku,

nad strumykiem, tam gdzieto owa wielka grusza... Ach, mój Boże! Więc już jéj nigdy widziéć nie będę!

Pułkownik. Wytłumacz się jaśniéj, nie rozumiém cię.

Pitter. Niechże pan pułkownik list ten przeczyta... I dał mu list, który pułkownik głośno odczytał, a którego osnowa wiecznie w pamięci mojéj pozostanie.

»Najukochańszy Józefie!«

»Korzystam ze sposobności i piszę do ciebie »przez rekruta Arnolda, który do twojego »pułku maszeruje. Spodziéwam się, że cię list »mój zastanie w dobrém zdrowiu, i że od»bierzesz woreczek, który dla ciebie zrobiłam. »Musiałam skrycie robić go po nocach, aże»by ojciec nie wiedział. On zawsze łaje mię »za to, że ciebie tak kocham, i powiada, że »ty nie powrócisz. Wszakże prawda, Józefie, »że ty powrócisz? a gdybyś i nie powrócił, »to bym cię jednak do ostatniego tchu życia »kochała. Zaręczyłam się z tobą, pamiętasz »wtedy, kiedyto moję niebieską chustkę pod»niosłeś w tańcu i mnie oddałeś. Bardzo mię »to cieszy, że słyszę, iż cię wszyscy kochają i »poważają w pułku. Masz jeszcze dwa lata »do służenia. Przebądź je jak najprędzéj, ko»chany Józefie, a wtedy na wieki zostaniemy »z sobą złączeni. Twoja, do śmierci cię ko»chająca, Maryja.«

P. S. »Przyszliéj mi co z Francyi, nie dla »tego abym co miała od ciebie, coby mi »twoję osobę przypominać mogło, lecz dla »tego, ażebym podarunek twój zawsze przy »sobie nosić mogła. Pocałuj to, co mi po»szlesz, a będę pewną, że zaraz znajdę »miéjsce, które pocałowałeś.«

Gdy pułkownik list ten odczytał, zabrał Pitter głos: »Arnold,« mówił tenże, »przyniósł mi list ten wczoraj wieczorem, właśnie gdy bilet kwaterunkowy dostałem. Noc całą spać nie mógłem, myślałem o mojéj ojczyznie i o Maryi. Prosiła mię o podarunek z tego obcego kraju. Nié mam pieniędzy, gdyż całą gażę moję na trzy miesiące naprzód zastawiłem, ażeby dać co na drogę stryjecznemu bratu mojemu, który kapitulacyją swoję wysłużył, i przed kilką dniami wracał do domu. Wstawszy dzisiaj rano otworzyłem okno. Niebieska chustka wisiała na sznurze; była zupełnie podobną do chustki Maryi; miała taki sam kolor i takie same białe kwiaty. Byłem tyle słaby, że wziąłem tę chustkę i schowałem do mojéj tornistry. Odszedłem, ale zacząłem żałować téj kradzieży i chciałem już wrócić i powiesić nazad tę chustkę na miéjscu, zkąd ją wziąłem, lecz kobiéta tymczasem narobiła krzyku, przeglądniono rzeczy moje i chustkę znaleziono u mnie. To, co mówię, jest szczéra prawda. Zbłądziłem, to prawda, bo ostry był zakaz. Ogłoszono wszakże publicznie, że kto rzecz choćby najmniéjszą ukradnie u swojego gospodarza, rozstrzélany będzie. Wiém, że muszę umrzéć! Koledzy rozstrzélajcie mię, ale nie pogardzajcie nieszczęśliwym!«

Sędziowie nie mogli utaić wzruszenia, łza nie po jedném licu pociekła. Tymczasem gdy przyszło do głosowania, skazano go na śmierć jednogłośnie. Musiano prawu uczynić zadosyć. Skazany słuchał wyroku, zbliżył się potém do swojego kapitana i prosił, ażeby mu cztéry franki darował. Kapitan dał mu je. Widziałem daléj, jak przystąpił do niewiasty, któréj skradzioną chustkę oddano i słyszałem, jak mówił do niéj: »Moja kobiéto, oto macie cztéry franki, dajcie mi za nie swoję niebieską chustkę, proszę was bardzo o to; a jeżeli ona więcéj warta, to mi resztę podarujcie, pomnąc, że dosyć drogo, bo własném ją życiem opłacam.« Wziął od niéj chustkę, ucałował i oddał kapitanowi swojemu z témi słowy: »Panie kapitanie, jeźli który z moich kolegów do domu powracać będzie, daj mu panie tę chustkę, ażeby ją oddał Maryi mojéj. Lecz niech jéj nie powiada, jakim sposobem do niéj przyszedłem.« Poczém ukléknął, pomodlił się i śmiałym krokiem na plac śmierci wystąpił.

Odszedłem i udałem się do gaiku, by nie być świadkiem tego smutnego zdarzenia. Kilka wystrzałów broni ręcznéj dało mi znać, że już po wszystkiemu.

We dwie godziny poźniej szedłem znowu tą samą drogą. Już pułku nie było i tylko świéża mogiła okazywała miéjsce, gdzie padł ów młodzian. Ułamałem gałęź jodłową' zrobiłem krzyż i zatknąłem go na grobie biédnego żołniérza, który teraz od całego świata jest zapomniany, wyjąwszy mnie i — może — Maryją.

DO HISTORYI POJEDYNKÓW.

Gazety pisały w czasach ostatnich o pojedynku (obacz: Nr 119. Gazety naszej), zaszłym dnia 9go września koło Eupen na prusko-belgijskiej granicy, między znanym autorem *Listów Zmarłego*, pisma *Tutti frutti* i innych, i pewnym oficerem sztabowym. Wychodzący w Leodyjum dziennik *Industrie* donosi o tym pojedynku następujące szczegóły: »Przed kilką dniami przybył jakiś nieznajomy do jednego z naszych najznakomitszych chirurgów i zapytał go, czy jest w stanie zrobić wszelką, jakiejby zażądano, operacyją. Gdy chirurg powiedział, że jest w stanie, zapytał go nieznajomy znowu, czy może poświęcić się na cały dzień. Lekarz i na to przystał. Lecz gdy się zapytał, do czego będzie użyty, odebrał niedostateczną i od przedmiotu zbaczającą odpowiedź. Tyle się tylko dowiedział, że nazajutrz zrana ukaże się powóz przed jego domem, ażeby o kilka godzin od Leodyjum zawieźć go w miejsce, gdzie pomoc jego potrzebna będzie. W oznaczonym czasie przybył powóz. W nim, oprócz nieznajomego z wczorajszego wieczora, siedział jeszcze jakiś pan znakomity, który sam jeden zajmował miejsce w tyle, i któremu największe uszanowanie okazywano. Wezwano doktora, ażeby siadł także i ruszono w drogę. Podróżni zachowywali z początku milczenie. Mówiono potem o rzeczach obojętnych. Nareszcie obcy, grający w tem zdarzeniu pierwszą rolę, przepraszał lekarza, że go tak tajemniczo i prawie przymusem uwieziono. »Ale potrzeba,« rzekł, »ażebyś wćpan wiedział, dokąd jedziesz i o co rzecz idzie. Pochlebiam sobie, że nie jestem wćpanu zupełnie nieznajomy. Kilka literackich płodów, dosyć względnie od publiczności przyjętych, zawiadomiło wćpana prawie o nazwisku księcia Pückler-Muskau. W jednem z pism moich użyłem zwyczajnego sposobu do dania ruchu i interesu opiewanej akcyi. Bohatera mojego dzieła wystawiłem na wszelkie namiętności i na wynikające ztąd błędy, a ponieważ bohater dramatu lub romansu, lubo zmyślony, potrzebuje mieć koniecznie nazwisko, więc dałem mu takowe na los szczęścia. Dziwnym przypadkiem zdarzyło się, że pewien bardzo znakomity mąż na Północy ma takie samo nazwisko. Temu wpadła ta książka do ręki i wziął marzenia mojej wyobraźni za obrażającą osobistość. Byłem wtedy w Paryżu. Drogą dyplomatyczną dowiedziałem się o jego zażaleniach i reklamacyjach. Wyjaśniłem rzecz, jak się ma, i wytłumaczyłem się z wszystkiego, czego ode mnie żądano. Ów jegomość, czując się być obrażonym, nie był zadowolony mojem usprawiedliwianiem się. Zgodzono się zatem, ażeby rzecz tę orężem roztrzygnąć i w tym zamiarze udajemy się właśnie do Eupen, gdzie przeciwnika mojego ujrzę zapewne raz pierwszy w życiu.« Odmieniano konie; książę zaproponował śniadanie, które w największej wesołości i z najlepszym apetytem zjedzono. Nim dalej pojechano, chciał książę proch swój spróbować; dwa razy strzelił z pistoletu w drzewo i oba razy trafił w jedno miejsce o 15 kroków. »Co wćpan mówisz na to,« rzecze, zwracając się do lekarza. »Nic, mości książę,« odpowiedział lekarz, »tylko, że przeciwnik W. Ks. Mości musi być dobrym strzelcem, ażeby się równo mógł trzymać.« Podróżni odjechali dalej i przyjechano wreszcie na miejsce wyzwania. Przeciwnik już czekał na nich. Byłto człowiek szlachetnej postawy, poważnej ale ujmującej powierzchowności. Warunki pojedynku ułożono i uporządkowano już naprzód. Odmierzono kroki, i przeciwnicy zajęli miejsca, nie rzekłszy ani słowa, i nie zrobiwszy najmniejszej miny. Na dany znak przystępują aż ku baryjerze, i strzelają razem. Jeden z pojedynkujących się został draśnięty koło szyi; byłto przeciwnik księcia. Pospieszono mu z pomocą, jakiej rana jego wymagała, lecz jak na szczęście byłoto tylko lekkie draśnięcie. Zaraz na miejscu zrobiono oświadczenie obopólnej satysfakcyi i rozłączono się z tą samą zimną i milczącą ceremoniją, z jaką przystępowano do pojedynku. Znakomici pojedynkujący się, z których każdy dla zadosyć uczynienia śmiesznemu kaprysowi, zwanemu punktem honoru, najmniej 100 godzin drogi ujechał, wrócili, zkąd przyjechali, jeden do Paryża, drugi do Berlina, zapewne uradowani tem, że tak lekko wyszli z tyle niebezpiecznej rozprawy.«

DO WILHELMINY.

Jeszcze mi jedna tylko pozostaje chwilka,
Krótka chwilka! — a po niej daleko.... daleko
Niesione zmiennych losów niepowrotną rzeką,
Moje życie przeminie, jak życie motylka.

Tobieto wówczas ślubna pochodnia zapłonie,
I serafin nadziei brząknie pieśń radości,
Anioły cię uniosą w świątynię miłości,
I dusza twa w snach słodkich przyszłych szczęść utonie;

W snach twego uniesienia, śród lubych widziadeł,
Kiedy polotem myśli przez marzeń manowiec
Wzlecisz, gdzie do przeznaczeń wiedzie życia droga...
Spojrzyj wtenczas do czystych twej duszy zwierciadeł,
A ujrzysz w stepach wspomnień mój cichy grobowiec;
W nim pył mój za twe szczęście będzie błagał Boga.

KRETOWICZ.

— Ze Lwowa. —

Dnia 26. września r. b. dawano po raz piérwszy na tutejszéj scenie polskiéj dramat we trzech aktach, oryginalnie przez Fryderyka hr. Skarbka napisany, pod nazwą: Sumienie. Sztuka ta dosyć się podobała.

Król. miejski teatr tutejszy, wraz z salą redutową, wypuszczony będzie d. 22. października r. b. w dzierżawę trzech-letnią, a zwłaszcza zacząwszy od Wielkiéj Nocy r. 1835, albo od 1go września r. 1835.

Dnia 23. września r. b. spłonęło ogniem miasteczko Lubycza w obwodzie Żółkiewskim, nie zostawiwszy żadnego śladu po sobie. Także wioska Łozek, należąca do Lubyczy, stała się pastwą płomieni, gdzie biednym włościanom bydło się nawet popaliło. Nieobliczone są szkody, jakie nieszczęśliwi mieszkańcy miejsc tych ponieśli.

Wyjątek z listu młodego Galicyjanina z Kopenhagi. »Dnia 30. sierpnia 1834. Jadąc do Kopenhagi udaliśmy się lądem do Frauenmünde, to jest do portu miasta Lubeki, zkąd nazajutrz statkiem parowym do Kopenhagi w 19stu godzinach dostaliśmy się. Noc była prześliczna, księżyc nam właśnie przyświecał, gdy przepływaliśmy koło wyspy Falszter, potém Moen, gdzie sławne są kredy dostarczające góry, które ze statku dobrze widzieć było można. Tu właśnie oglądaliśmy wschód słońca, a koło godziny drugiéj stanęliśmy w Kopenhadze. Jestto pięknie budowane, dosyć duże, starożytne miasto, nie bardzo ludne i prawie samymi majtkami zamieszkałe. Historycznych ciekawości jest tutaj dosyć. Pierwsze miejsce trzyma starożytny zamek królewski, tak nazwany Rosenburg, bardzo dawny, w którym się znajduje skarbiec królów, podobny do *Grünngewölbe* w Dreźnie, lecz bardzo źle ułożony, i o wiele mniéj zawierający; potém drugi zamek królewski, nowo wybudowany, tak nazwany Christiansburg; ten na środku miasta znajduje się, i jestto ogromny, wodą otoczony gmach, w nowszym stylu, bez żadnych zewnętrznych ozdób, ale wewnątrz prawdziwie po królewsku urządzony. Królewskie mieszkanie na trzeciém piętrze mniéj jednak piękne i kosztowne, jak gdzie indziéj; jedna sala rycérska bardzo piękna i dosyć duża, ale jeszcze nie zupełnie urządzona. Widzieliśmy także zamek królewski za miastem w ogrodzie (Friedrichsberg), gdzie król w lecie mieszka; tam więc dwa razy na tydzień wyjeżdża w bacie, na wązkim kanale, z muzyką, z całym dworem, jenerałami i rodziną. Sam w największéj gali stoi na miéjscu sternika i kieruje batem, a lud cały ze wszech stron schodzi się na brzegi kanału, ażeby podług dawnego zwyczaju swemu królowi się pokłonić. Co zaś do największych ciekawości tego miasta należy, to jest tutejsze muzeum i statuy Thorwaldsona. Muzeum w tym gatunku trudno gdzie znaleźć; jestto zbiór starożytnych narzędzi, naczyń i strojów, podług porządku od roku 400 przed narodzeniem Chrystusa, aż do naszych czasów. Tu łatwo odmianę obyczajów, zwyczajów, gustu i wydoskonalenie ludzkich sposobności widzieć można. Wszystkoto wykopane było w kilku latach i ciągle jeszcze nowe rzeczy wykopują. Statuy Thorwaldsona są najpiękniéjszą rzeczą, jaką kiedy widziałem. Wyjeżdzamy do kąpieli w Szwecyi Ramlöda, ztamtąd wstąpimy na wyspę Rügen.« J. L.

Z Krakowa. Od d. 1. października r. b. ogłoszono tu nowe pismo czasowe: Kuryjer Krakowski, mające umieszczać krótkie wiadomości o rzeczach politycznych, naukowych i t. p. — Księgarnia Stanisława Gieszkowskiego ogłosiła prospekt na wyjść mający nowy kalendarzyk polityczny, pod napisem: Przewodnik krakowski na r. 1835, mający zawiérać to wszystko, co Kraków przedstawia ciekawego pod względem historycznym, statystycznym, jeograficznym, topograficznym, handlowym i rękodzielniczym. — Wyszedł zeszyt czwarty Widoków Krakowa i jego okolic, z litografii Engelmanna, pięknie przez pana Głowackiego rysowanych, i zamyka w sobie: *a)* Zamek w Lipowcu. *b)* Pałac Wielopolskich w Krakowie. *c)* Kościół Ś. Anny, i *d)* Klasztor w Czerni.

W piśmie czasowém niemieckiém *Allgemeines Archiv für die Geschichte des preussischen Staates* jest między innemi rozprawami ważna wiadomość o archiwach dawnéj rzeczypospolitéj polskiéj, a w szczególności w W. Księztwie Poznańskiém. W piśmie tém jest także artykuł: »O pokrewieństwie w kraju Sławian pierwotnych klasztorów z klasztorami w Niemczech, a w szczególności o stosunkach między klasztorem w Płocku i w Neuwerk pod Halą.«

W Paryżu mają wyjść pamiętniki w języku francuzkim, przez bawiącego długi czas w Polszcze Francuza jenerała hr. M.....s napisane, pod tytułem: »Trzydzieści lat w Warszawie.«

Pewien podróżujący Niemiec, opisując w jednym z dzienników niemieckich Awinijon, donosi między innymi: »Przybyliśmy do dużego ogrodu oliwnego, w którym była fabryka mydła i ładny dom mieszkalny. Wszystkoto należy do Polaka Otomskiego (?), rzekł nasz przewodnik, ożenił się tu bardzo dobrze i teraz żyje z rolnictwa i fabryki swojéj, jako szczęśliwy małżonek i ojciec. Opowiedział nam wiele szczegółów o tym Polaku i chwalił wzorowe jego życie, które mu do jego szczęścia dopomogło. Ciekawość nasza obudzona tem została, cośmy słyszeli, a życząc sobie wszyscy poznać tego człowieka, bez pytania weszliśmy do ogrodu. Jeden z robotników, któregośmy o pana zapytali, wskazał nam na długą w formie łuku wyciągniętą ulicę winogradową i mówił, że pan jego właśnie winogrady obcina. Przystąpiliśmy bliżéj i ujrzeliśmy stojącego na drabinie człowieka z zielonym fartuchem i w czerwonéj czapeczce na głowie, gorliwie zatrudnionego swoim nożem ogrodniczym. Nie wiedzieliśmy właśnie, czy się zbliżyć do niego, ale oprowadzający nas Awinijończyk, który znał go cokolwiek, sam przystąpił ku niemu i przybycie mu nasze zapowiedział. Polak zeskoczył natychmiast z drabiny, pobiegł ku nam i powitał uściśnieniem rąk. Byłto człowiek blizko trzydziesto-letni, jasnego wąsa, a twarz jego, kwitnąca i czerstwa, miała w sobie tyle łagodnych rysów, że trzeba było zaraz ku niemu powziąć przywiązanie. Przepraszał nas za swój wiejski ubiór i zaprowadził do miłego domku swojego, gdzie w saloniku ogrodowym częstował nas winem i owocami, mocno żałując, iż żona jego była w mieście i sama nas przyjąć nie mogła. Nie mówił najpłynniéj po francuzku, i ucieszył się wiadomością, że jestem Niemcem; językiem niemieckim bowiem lepiéj mówił. Jest synem majętnego obywatela z Litwy, a matka jego jest Niemka, rodem ze Szląska. Przybywszy do Francyi, z trudów podróży dostał nerwowéj gorączki, a gdy z téj słabości przyszedł do zdrowia, długo jeszcze potém chorował w Awinijonie i leczył się na ranę w głowie, która mu się była odnowiła. Stracił w téj słabości większą część włosów, a owa czapeczka okrywała łysinę ładnéj i młodzieńczéj głowy jego. Lecz choroba ta przyczyniła się znacznie do jego szczęścia. W domu pewnego zacnego i majętnego obywatela awiniońskiego znalazł przytułek i pielęgnowano go. Jedyna córka domu, ładna i cnotliwa dziewica, powzięła ku przybyszowi tajemną skłonność. Nie umiał on wtedy jeszcze po francuzku, ale błękitne oko jego wymownie za nim do serca Awinijonki przemawiało. Jego łagodny charakter i obyczajność zyskały mu także przychylność rodziców, a ci, gdy wyzdrowiał, sami zaproponowali mu córkę swoję, któryto projekt przyjął Otomski z wdzięcznością, ożenił się z piękną obywatelką Awinijonu, już od dwóch lat żyje z nią szczęśliwie i ma syna i córkę. W domu rodziców nauczywszy się gospodarstwa i tu się jemu, tudzież ogrodnictwu poświęca, odkąd przeniósł się do pięknéj oliwnéj plantacyi swojego teścia. Oprócz niego mieszka jeszcze dwadzieścia kilku Polaków w Awinijonie, ci także pożeniwszy się, lubo nie tak dobrze, jak Otomski, zajmują się rolnictwem lub handlem.«

Ilość badaczów przyrody, mających udział w tegorocznem zgromadzeniu Stuttgardzkiém, dochodziła 20. z. m. do 450. Przełożonym wydziału medycznego mianowano: Lekarza przybocznego i radzcę medycynalnego dr. Ludwig ze Stuttgardu; jego zastępcą radzcę tajnego Harless z Bonny; sekretarzami dr. Blumhard z Göttyngi i lekarza przybocznego dr. Heifelder z Sigmaringen. Wydział botaniczny: Hr. Sternberg z Pragi, prezydent; prof. Martius z Mnichowa, wice-prezydent; prof. Nees z Esenbeck i Martens, sekretarze. Wydział zoologiczno-anatomiczno-fizijologiczny: Prezydenci: Profesor Tiedemann z Heidelbergu, prof. Otto z Wrocławia, radzca medycynalny Froriep z Weimaru, sekretarze: porf. Heyde, prof. Rupp i dr. Duvernoy. Wydział gospodarstwa wiejskiego: Prezydent: radzca nadworny Seyffer; sekretarz: prof. Riecke. Wydział fizyczno-chemiczny: prof. Gmelin z Tybingi; sekretarze: prof. Degen i dr. Zeller. Wydział astronomiczno-jeograficzny: Prezydent: Littrow, dyrektor ces. uważalni w Wiedniu; sekretarz K. W. Hoffmann ze Stuttgardu.

W lecie r. 1833 odwiédzał OEhlenschläger Norwegiją, widownia, z której czerpał największe swoje arcydzieła. Z największémi honorami i z największą serdecznością przyjmowany był od wszystkich, zacząwszy od następcy tronu, aż do najlichszego włościanina, i wdzięczność swoję za tak zaszczytne przyjęcie wynurzył w zbiorze poezyi, który wydał pod tytułem: *Norgesreisen, en Digter-rands* (Podróż przez Norwegiją, wieniec poematów).

Sławny romansopisarz francuzki, Jérzy Sand, wydał właśnie w Paryżu nowy romans, pod nazwą: *Jacques*. Mówią, że w tém dziele poszedł autor zupełnie nową drogą, z czego bardzo się cieszymy, gdyż dawna, na któréj dotąd postępował, nie była najlepszą.

Pewien fabrykant robi w Paryżu dészczochrony, których razem za laski przechadzkowe używać można. Mają w przecięciu 1/2 do 1/3 cala i najwięcéj jeżli dwadzieścia łutów ważą. Mechanizm ich jest bardzo prosty i łatwy, i tak są zrobione, że, same się przy składaniu zwijając, pokrywają się miasto pochwy czarnym, świecącym się i giętkim rogiem wielorybim.

W Paryżu żył nie dawno pewien człowiek, zasługujący na miejsce w galeryi osobliwych ludzi. Znany był pod nazwą *de quatorze oignons* (czternastu cébul), które były jego dziennem pożywieniem. Zasługiwał słusznie na nazwisko stoika i byłto prawdziwy Dyjogenes, który z zasad ujmował sobie wszystkiego, nawet najkonieczniejszych potrzeb życia. Był drążnikiem z rzemiosła, a całym jego majątkiem był kosz duży, w którym we dnie nosił rozmaite rzeczy, a w nocy w nim sypiał, gdzie się zdarzyło, na ulicy, na polu, lub w lesie. Czternaście lat chodził w jednym ubiorze, a gdy się psuł, naprawiał i łatał, jak mógł. Do tak nader oszczędnego życia nie zmuszało go ani ubóstwo, ani też skąpstwo, wszakże ubogim wiele dobrego świadczył, pożyczał także pieniędzy, nie odbierając ich nigdy, i nigdy się nie ociągał, gdy mógł co zarobić, jedynie, ażeby biédnych wesprzéć zarobkiem swoim. Nie wiele mówił, lecz co powiedział było rozsądne i wielu uczonych ludzi szukało jego towarzystwa. Razu jednego pytano go, czy jest szczęśliwy? »Zdaje mi się że jestem,« odpowiedział filozof. — W czemże się zasadza szczęśliwość twoja? — »W pracy, spokojności i życiu bez trosek.« — Dodaj jeszcze w dobrych uczynkach. — »Jakim sposobem.« — Swiadczysz ubogim. — »Daję im to, co mi zbywa.« — Czyliteż modlisz się do Boga. — »Składam mu dzięki.« — Za co? — »Za siebie samego.« — Azali nie boisz się śmierci? — »Nie boję się ani śmierci, ani życia.« — Nie nudziszże się czasami? — »Nie jestem nigdy nieczynny.« — Czy zazdrościsz komu czego? — »Nikomu niczego nie zazdroszczę, bo rad na sobie poprzestaję.« — Jesteś mędrcem. — »Jestem człowiekiem.« — Maszli przyjaciela? — »Wszyscy ludzie są przyjaciele moi.« — Są jednak i źli ludzie. — »Nie znam złych ludzi!« Rzadki ten człowiek nazywał się Paweł Mounier.

Corsaire, dowcipne pismo paryzkie, twierdzi, że celnicy francuzcy nie chcieli na granicy hiszpańskiéj przepuścić nie dawno pewnego podróżującego, który wiózł z sobą paczkę piórek do zębów. Byli bowiem tego zdania, że piorkami do zębów można pisać, zatemperowawszy je, i że te służyćby mogły powstańcom hiszpańskim do pisania buntowniczych reklamacyj.

Dzienniki włoskie zaczynają uskarżać się na to, że we Włoszech, w téj ojczyznie wina, wychód piwa coraz się bardziéj pomnaża. W samej Padwie trzy browary są czynne, bo nie tylko mężczyźni piwo piją, ale i kobiéty także zaczynają smakować w tym musującym jęczmiennym napoju, a który, jak rzecz naturalna, droższy jest we Włoszech od wina. Takie marnotrawienie zboża na napój jest we Włoszech, gdzie zboża tak mało, ze strony gospodarzów rzeczą zastanowienia godną.

W jednym z ostatnich numerów gazety tureckiéj znajduje się po raz piérwszy uwiadomienie o dziełach literackich, wyjść mających na subskrypcyją w Stambule. Między témi są trzy historyczne, pięć gramatycznych, a cztery poetycznych dzieł. Dzieła historyczne są nader ważne; jako to: »Zycie sultanów i wezyrów, przez Osmana Sade Ahmed Tabiba,« który zmarł r. 1723. Ma być aż do naszych czasów doprowadzone. »Życie muftych, przez Suleimana Seaddedin, ben Mohameda,« sławnego pod nazwą Messekima effendi Sade; dzieło to napisane było r. 1774. »Życie reis-effendych, przez effendego Resmi,« doprowadzone aż do r. 1807 przez Sulejmana Feik.

Zaszczytnie znany podróżnik pan Hamilton przesłał badaczowi natury Loudon do Anglii nowy, dotąd całkiem nieznany gatunek zboża i wezwał go do próbowania tego gatunku. Zbożeto rośnie w prowincyi amerykańskiéj Caracas i w dniach 70 po zasianiu dojrzéwa zupełnie, tak, że w roku dwa do trzech razy zbierane być może. Loudon rozesłał to zboże różnym gospodarczym towarzystwom i robiono z niem doświadczenia, które jak najpomyślniéj wypadły. Potrzebowało istotnie 70 dni do dojrzenia, a zrobiona z niego mąka była bardzo smaczna i wydatna. Znawcy są tego zdania, że ten nowy rodzaj zboża o wiele pomnożyłby środki wyżywienia ludzi, gdyby dał się w Europie przyswoić, lecz Loudon twierdzi, że to z trudnością przyjdzie, albowiem ziemia i klimat europejski są zupełnie odmienne od ziemi i klimatu w Caracas. Poczynione jednak doświadczenia w tym względzie rzecz tę jak najdokładniéj wyjaśnią.

Na rozkaz cesarza chińskiego daje gubernator każdego miasta w Chinach w dzień Nowego Roku ucztę, na którą wszystkich zaprasza, co w roku upłynionym jaki czyn dobry zrobili. Goście siedzą u stołu pod otwartym namiotem, a lud robi jak najsurowszy przegląd i tych bez wszelkiéj ceremonii oddala, co niesłusznie przyznali sobie zaszczyt biesiadowania u tego stołu. Na namiocie umieszczony jest napis: »Tu cnota wszystkich porównywa — ludzie wszelkiego stanu i znaczenia są tu zarówno pożądani.« Sposób ten nagradzania dobrych czynów nie jest może najlepszy, lecz przynajmniéj chęć dobrą okazuje.

W Ameryce było tego roku tak wielkie gorąco, że nawet w niektórych dniach gazety nie wychodziły. Jeden numer pewnego dziennika wyszedł raz całkiem próżny i znajdowało się w nim następujące tylko uwiadomienie redakcyi: »Ponieważ dzisiaj niezmiernie gorąco, więc publiczność przebaczy, że nic nie piszemy dzisiaj, gdyż nie jesteśmy zdolni do żadnych umysłowych natężeń. Ale czytelnicy niech nie sądzą, że nam może nowin zabrakło i owszem mamy ich bardzo wiele i bardzo ważne.«

REDAKTOR, MIKOŁAJ MICHAŁEWICZ. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.